

JAN KWAPISZ
(Warszawa)

KIEDY FEMINISTKA SPOTYKA MUŻĘ

Penelopiada, najnowsza powieść poczytnej kanadyjskiej pisarki Margaret Atwood¹, rozchodzi się jak świeże bułeczki: dostałem ją dopiero w trzeciej z księgarni, w których o nią pytałem. Nic dziwnego. *Penelopiada* jest, obok otwierającego serię eseju *Krótką historią mitu* Karen Armstrong², jednym z pierwszych owoców zaplanowanego z rozmachem międzynarodowego przedsięwzięcia szkockiego wydawnictwa Canongate, w ramach którego uznani autorzy mają opowiedzieć na nowo publiczności z kilkudziesięciu krajów wielkie mity ludzkości (z polskiej strony krakowski Znak zaprosił do piór Olgę Tokarczuk, Jacka Dukaja i Pawła Huelle). Wszyscy lubimy piosenki, które już znamy, zwłaszcza w wykonaniu ulubionych artystów. Sukces wydawniczy serii wydaje się gwarantowany.

Na nietypowe zlecenie Margaret Atwood odpowiedziała feminizującą reinterpretacją *Odysei*. Narratorką uczyniła przemawiający z Hadesu cień Penelopy, w której dostrzegła uwięzioną w czterech ścianach ofiarę zmaskulinizowanej społeczności. Penelopa jest tu jednak nie tyle „pierwszą feministką”, ile raczej „pierwszą egzystencjalistką”. Ta inteligentna kobieta nie ma złudzeń co do możliwości buntu wobec rzeczywistości, skazującej ją na rolę dodatku do posagu i rodzicielki dzieci (nie jest nawet w pełni matką – wyprawa Telemacha, odchowanego zresztą przez Eurykleję, staje się aktem nieposłuszeństwa wobec pragnącej go zatrzymać troskliwej Penelopy). Za życia i po śmierci walczy wyłącznie z nudą. Gdy rozmowom i nocnym rozrywkom zapewnianym przez męża kres położy jego wyprawa pod Troję, skłonna jest szukać ratunku od monotonii choćby wśród pustoszących jej posiadłość zalotników (choć sama temu zaprzeczy). Z szarości Hadesu ucieka w rozmyślania, dzięki czemu poznajemy historię jej życia.

Atwood nie powieliła błędu wielu współczesnych autorów lekceważących narzucającą się myśl, że twórczość poświęcona nudzie sama nader łatwo może się wydać czytelnikowi nieznośnie nudna. Stąd ożywiające opowieść reminiscencje z dzieciństwa Penelopy i dygresje o skrywanym sekretach jej rodziny, a przede wszystkim interludia w postaci naśladowujących tragiczne stasimony, nierzadko wierszowanych pieśni dwunastu służek z domu Odyseusza. W *Penelopiadzie* ich obecność jest

¹ Margaret Atwood, *Penelopiada* (*The Penelopiad. The Myth of Penelope and Odysseus*), przeł. Magdalena Konikowska, Znak, Kraków 2005, 168 s.

² Karen Armstrong, *Krótką historią mitu*, przeł. Ireneusz Kania, Znak, Kraków 2005.

zaznaczona wyraźniej niż w *Odysei*³. U Homera Eurykleja demaskuje je jako nieposłuszne i nazbyt skore do spełniania życzeń zalotników, a Odyseusz zamierza mieczem pozbawić je życia. Odzywa się wówczas synowska gorliwość Telemacha, który nad ostrze przedkłada linę okrętową: „Wcale niedługo, przez krótką jeszcze chwilę podrygały nogami”⁴. Atwood ze szczególną uwagą pochyla się nad losem uśmierconych służek, ponieważ, jak stwierdza we wstępie, „interpretacja Homerowa nie wytrzymuje krytyki, zawiera zbyt wiele niekonsekwencji” (s. 11). Zdaje mi się, że przeciwnie, *Odyseja* wyjątkowo dobrze znosi krytykę. Widzę to wyraźnie, kiedy się zastanawiam, czy krytykę wytrzymuje *Penelopiada*.

Z początku koncept Atwood nie przypadł mi do gustu. Nie siląc się na obiektywizm – rzecz niegodna recenzenta – rozpocząłem lekturę uprzedzony do niej. Nie zgadzam się bowiem z założeniem, które leży u podwalin całej serii w ogóle, a książki Atwood w szczególności: że największe mity zostały opowiedziane w sposób nieatrakcyjny dla współczesnego odbiorcy, że stare opowieści wymagają podkoloryzowania, przerobienia, poprawienia czy wręcz – *horribile dictu* – uproszczenia stosownie do wymagań i możliwości dzisiejszego czytelnika. Otóż sądzę, że Homer, kimkolwiek, jakkolwiek i ilomakolwiek był, zupełnie nieźle poradził sobie z historią Odyseusza. Czyta się tę *Odyseję* całkiem przyjemnie nawet dziś, w czasach mało pobłażliwych dla przestarzałej klasyki. Gdyby Atwood przekornie po prostu przetłumaczyła i opatrzyła komentarzem intrygujący ją fragment, podpisując to własnym nazwiskiem, efekt byłby zapewne o wiele bardziej prowokujący i zaskakujący niż ten, który może wywołać *Penelopiada*. Nie jest bowiem prawdą, że czegoś brakuje w Homerowej interpretacji mitu. Homer nie interpretuje, lecz opisuje. Nie chce i nie może z nikim się kłócić ten, kto sam zostawia czytelnikowi pole do własnych poszukiwań. Na dodatek, nawet jeśli byśmy uznali, że bezwzględnie trzeba nam „*Odysei* na miarę naszych czasów”, mamy już przecież *Ulissesa*. Stawanie w szranki z Joyce’em nie jest wprawdzie szaleństwem równym zaczepianiu Homera, ale i tak stosowne wydaje się pytanie, czy to jeszcze niezbędna u pisarza odwaga, czy już przejaw zaawansowanej megalomanii.

Idąc tym tropem, warto zauważyć, że Homer nieprzypadkowo obrał perspektywę Odyseusza, by opowiedzieć o jego losach. Wszak trudno o ciekawszy punkt widzenia. Celne wydaje mi się spostrzeżenie angielskiego krytyka, że zadanie, które stanęło przed Margaret Atwood, uderzająco przypomina te, z którymi borykają się na co dzień uczniowie szkół podstawowych⁵. Także w Polsce znamy tę pouczającą zabawę, mającą, jak rozumiem, bezboleśnie zachęcić dziatwę szkolną do żywego odczytania arcydzieł literatury: nie jest moim zmysleniem temat wypracowania *Zbyszko z Bogdańca na dyskotece w naszej klasie*⁶. U początków tej tradycji znajdujemy zabawy greckich sofistów i absurdalne tematy deklamacji z rzymskich szkół, choć sama

³ Hom. *Od.* XXII 417–473.

⁴ Hom. *Od.* XXII 473, przeł. J. Parandowski.

⁵ S. Goldhill, *The Wisdom of the Ancients*, *The New Statesman* z 31 października 2005 r., <http://www.newstatesman.com/Bookshop/200510310045>.

⁶ Annie Malesińskiej dziękuję za to znakomite *exemplum*.

Atwood w posłowie równie trafnie wskazuje bardziej szlachetne źródło inspiracji: „Konwencję parodiowania akcji stosowano w dramacie satyrowym” (s. 160).

Już na starcie swej dyskusji z Homerem Atwood zajmuje więc pozycję, która skazuje ją na porażkę. Jej powieści, uciekającej w literacką grę i pastisz, ograniczonej przyjętą perspektywą, nieuchronnie musi zabraknąć głębokiego oddechu i uniwersalności wielkiej epiki, która nigdy nie skupia się na jednym aspekcie rzeczywistości, kreując ją w całości od nowa. *Odyseję* można czytać całe życie, *Penelopiadę* połyka się w godzinę. Zapewnienia wydawcy i samej autorki, że *Penelopiada* jest godną przeciwniczką *Odysei*, należy traktować z przymrużeniem oka, jako niezbyt uczciwy chwyt marketingowy. Zainspirowany książką Atwood sam zabrałem się do tej niepozabawionej uroku, ale jednak błażej zabawy. Zacząłem się zastanawiać, jak wyglądałaby *Odyseja* z punktu widzenia różnych epizodycznych postaci. Na przykład dzieje Odysa z perspektywy Argosa musiałyby przywołać na myśl ekscentryczne poezje Adama Macedońskiego w rodzaju „Biegu na sto metrów” („1 metr – biegacze biegną jak mogą najszybciej / 2 metr – biegacze biegną jak mogą najszybciej / 3 metr...” i tak dalej, aż do mety)⁷:

1 rok – Pan wyjeżdża. Czekam. Jem i śpię.

2 rok – Pana nie ma. Czekam. Jem i śpię.

3 rok – Pana nie ma. Czekam. Jem i śpię.

4 rok – Pana nie ma. Czekam. Jem i śpię.

[...]

19 rok – Głównie śpię, przeważnie na kupie gnoju. Odżywiam się świetnie, nowi państwo hojnie rzucają mi kości. Czekam, ale na co?

20 rok – Pan wrócił! Wzruszony zdycham na kupie gnoju. Zresztą wszy nie dają już żyć.

Gdyby uwzględnić resztę wiadomości o Argosie, jakie można znaleźć w *Odysei*⁸, i przyjąć, że Odyseusz wychowywał go i ćwiczył w polowaniach przez cztery lata przed wyruszeniem pod Troję, ta epicka opowieść liczyłaby sobie, jak należy, dwadzieścia cztery księgi. Obrońcy zwierząt mieliby powody do radości.

Z bagażem takich przemyśleń – ciężkim, bo nielekką mają ludzie obarczeni uprzedzeniami – otworzyłem *Penelopiadę*. Mimo wszystkich wstępnych zastrzeżeń postanowiłem, że nie będę się nastawiał na poszukiwanie anachronizmów i nieścisłości w opisie „świata homeryckiego” – cokolwiek mógłby oznaczać ten termin. O ile można się zastanawiać, czy taka pedanteria miałaby sens w zastosowaniu do beletrystyki, o tyle jest pewne, że byłaby zupełnie bezsensowna w przypadku narracji z założenia anachronicznej (Penelopa, przebywając w Hadesie, opowiada o swoim życiu z dzisiejszej perspektywy)⁹.

⁷ Twórczość Adama Macedońskiego, drukowaną kiedyś w „Przekroju”, poznałem dzięki ułożonej przez Wiktora Woroszyńskiego antologii *Nastolatki nie lubią wierszy* (Nasza Księgarnia, Warszawa 1967). Przypomnienie tej uroczej z wyglądu i z treści książki byłoby przedsięwzięciem wydawniczym nie mniej pożytecznym niż seria *Mity*.

⁸ Hom. *Od.* XVII 291–327.

⁹ Dla porządku wspomnę jednak „kafar” ze strony 72, pochodzący być może od tłumaczki, którego nie spodziewałbym się u Homera („Menelaos był głupi jak but, a subtelny jak kafar”). Atwood chętnie sięga po nader współcześnie brzmiące kolokwializmy, ale nie sposób odmówić jej przy tym zręczności i dowcipu (czasem grubego), na przykład wtedy, gdy jednej ze służeb-

Ale chociaż odłożyłem szkielek i przymknąłem oko, nie mogę przejść do porządku dziennego nad treścią rozdziału XXIV, zatytułowanego „Chór: Wykład z antropologii” (s. 134–138). Atwood najzupełniej poważnie zgłasza tam dziwaczną teorię, wyraźnie inspirowaną, jak zresztą z zaskakującą szczerością przyznaje sama autorka w posłowie (s. 160), *Mitami greckimi* Roberta Gravesa¹⁰. Odczytując symbolikę liczby dwanaście w „badanym” przez siebie fragmencie *Odysei*, snuje osobliwą paralelę między dwunastoma służkami powieszonymi przez Telemacha, dwunastoma miesiącami, a raczej „dziewicami księżycowymi” z orszaku Artemidy, i dwunastoma toporami, których ucha Odyseusz przesywa strzałą w dwudziestej pierwszej księdze *Odysei*. Nie rozumiem tego wywodu, tym bardziej nie potrafię go powtórzyć i proszę wybaczyć, że nazwę go po imieniu: bzdurnym. Liczne uroki postmodernizmu przyćmiewa jego skłonność do bełkotu, której przez krótką chwilę zupełnie niepotrzebnie uległa Atwood. Dyskurs postmodernistyczny – jak sam siebie nazywa – lubi komplikować sprawy ponad miarę, choć zamiłowanie do samozasypływania się w żaden sposób nie pasuje do lekkich, erudycyjnych zabaw literackich, którym hołduje. Ta właściwość staje się szczególnie przykra, gdy pod maską trudnego wywodu nie kryje się, jak w przypadku owego nieszczęsnego rozdziału *Penelopiady*, żadna sensowna myśl. Wnoszę o usunięcie tego rozdziału z przyszłych wydań. Pisarstwo Atwood nie potrzebuje bełkotliwych, pseudo-uczonych podpór.

Nie potrzebuje dlatego, że jest to świetna proza. Margaret Atwood ma znakomity literacki smak, który zawiódł ją bodaj tylko raz, gdy nieudaną, niby-antropologiczną dygresją złożyła daninę ciemnej stronie postmodernizmu. W *Penelopiadzie* nie ma śladu archaizmów i afektowanych stylizacji na język epicki. To znakomicie, bo prosty, precyzyjny styl Atwood jest jej wielkim atutem. Rozdzielenie prozy wierszowanymi „pieśniami chóru” można by łatwo uznać za zabieg pretensjonalny i dostrzec w nim przesadne upodobanie do formalnych fajerwerków. Nieprzyjemne wrażenie powstałoby, gdyby poezja okazała się gorsza od prozy: szczęśliwie tak nie jest w przypadku *Penelopiady*. W pojemnym talencie Atwood zmieścił się wysoce rozwinięty zmysł

nie każe skomentować nieprzystępny charakter Antikleii: „zmroziłaby ją Heliosowi” (s. 61). Albo kiedy przedstawia sprzeczne wieści o przygodach Odyseusza: „Odyseusz gościł u boginki, pani czarodziejskiej wyspy, powiadali jedni: zamieniła marynarzy w świnie – nic trudnego, moim zdaniem – ale przywróciła im ludzką postać, zakochała się bowiem w kapitanie, karmiła go nieziemskimi smakołykami, dziełem własnych nieśmiertelnych rąk, i co noc ci dwoje oddawali się szalonej miłości. Nie, donosili inni, to był po prostu luksusowy zamtuż, a Odyseusz sępił na burdelmami” (s. 77). Można by się przyczepić do niekonsekwencji w opisie mieszkańców Hadesu. Kiedy Penelopa umiera, „przybiera postać bez kości, bez ust, bez piersi” (s. 13), a ponieważ „nie ma ust, żeby przemówić”, nie zostanie rozumiana przez nas, żyjących „w świecie ciał, języków i palców” (s. 15–16). Antinoos w Hadesie, jak i inne cienie, zdaje się jednak być całkiem materialny, kiedy „się przechadza w swoim najlepszym chitonie i w najpiękniejszej chłajnie ze złota broszą, wyniosły, butny, roztrąca inne duchy”, a czasem „przybiera postać trupa zbroczonego krwią, z szyi sterczy strzała” (s. 89). Zaskakująco cielesna w podziemiu Helena „woli się kąpać nago, nawet jako duch”, dla uciechy „wyjątkowo pokaźnego tłumu widzów” (s. 128). Tyle tylko, że bardzo podobne niekonsekwencje uważny czytelnik odnajdzie również w jedenastej księdze *Odysei*.

¹⁰ W tle *Penelopiady* bezustannie zresztą dostrzegam Gravesa. Jeśli nie *Mity*, to *Córkę Homera*, do której Atwood nie nawiązuje wprawdzie wprost, ale jestem przekonany, że pomysł feministycznej lektury *Odysei* wiele jej zawdzięcza.

poetycki. Nie potrafię rozstrzygnąć, czy świadomie celowała w sprzyjającą ironii lekkość *prosimetrum* starożytnego romansu, czy też osiągnęła ją przypadkiem, dzięki przyrodzonemu wyczuciu literackiemu.

Jest to kolejny dowód, że nie warto oceniać książki przed jej przeczytaniem. Moje wstępne zarzuty nie całkiem tracą jednak moc. *Penelopiada* niepotrzebnie udaje coś więcej niż to, czym jest. Może szkoda, że nie ukazała się jako samodzielna książeczka, bez obciążenia, jaką nakłada na nią ambicja wydawcy napuszonej serii. *Penelopiada* nie może być konkurencją dla *Odysei*. Ale zarazem nie powinno się widzieć w niej wyłącznie bez troskłej zabawy literackiej opartej na motywach homeryckich. Jej powstaniu przyświecał poważny cel i nie na darmo nosi etykietkę „powieści feministycznej”. Czym zatem jest *Penelopiada*?

Istnieje taka odmiana publicystyki, nazwałbym ją publicystyką historyzującą, która lepiej lub gorzej udaje, że osadzona jest w przeszłości, rozprawia o minionych wydarzeniach lub postaciach literackich ze starych książek, a w rzeczywistości ima się tematów jak najbardziej współczesnych. Jestem miłośnikiem tego niemodnego gatunku, unikanego przez poważnych historyków i solidnych badaczy literatury. Jest on bardzo trudny, wymaga bowiem od twórcy zarówno uczonej erudycji, jak i wielkiej sprawności literackiej. Zręcznie uprawiany najcelniej jednak trafia niekiedy w istotę rzeczy. Metodą łagodnej perswazji niepostrzeżenie oddziałuje na czytelnika, uwodzonego zgrabnie dobranym przykładem. Czasem, choć bardzo rzadko, powstaje szczególne sprzężenie zwrotne i oprócz opisu aktualnej rzeczywistości otrzymujemy cenną obserwację o fragmencie przeszłości, który miał posłużyć tylko jako *exemplum*.

W Polsce, której mieszkańców tradycyjnie cechuje pewna dezynwoltura w badaniach historycznych – z natury bowiem myślimy historią – publicystyka historyzująca pleniła się bujnie. Nie jest może przesadą stwierdzenie, że każdemu, kto miał u nas coś ciekawego do powiedzenia na piśmie, zdarzyło się choć raz sięgnąć po ten gatunek. Najwybitniejszym, a chyba i jednym z ostatnich jego przedstawicieli jest obecnie Adam Michnik, który komentuje współczesność przez Stendhala czy przez Mickiewicza. Szkoda, że kontrowersyjność poglądów Michnika sprawia, że jego eseje spotykają się z miazdzącą krytyką, wśród której nikną zalety tej formy i jej niewątpliwa uroda. Esej jest naturalnym nośnikiem publicystyki historyzującej, ale czuje się ona znakomicie również w innych środowiskach, ma zresztą mnóstwo odcieni. W tej przepastnej szufladzie znajdują i *Boskiego Juliusza* Jacka Bocheńskiego, i niektóre wiersze Zbigniewa Herberta (oczywiście, również – a może zwłaszcza – jego eseje).

Taka publicystyka wymaga od autora zmysłu analitycznego i umiejętności zdystansowania się od utartych przekonań. Jak Herberta fascynuje Tersytes, tak Atwood przyciąga Penelopa. Jak Herbert znajduje szpilkę w lesie „pośród długich mów wodzów / bitew obłąkań zarazy / gęstej sieci intryg / dyplomatycznych zabiegów”, tak Atwood dostrzega służki Penelopy wśród bogów, cyklopów, nimf, potworów i czarodziejek. Te podobieństwa przekonują mnie ostatecznie, że Atwood nie chodzi o przepychanki z Homerem, że zajmuje ją w istocie publicystyka, a w szczególności, jak się rzekło, egzystencja współczesnej kobiety. Przy tym Atwood nie ma nic z na-

chalności agitatora, wciskającego przechodniom broszury o przewidywalnej treści. Woli częstować nas dobrą literaturą – i chwala jej za to. Osobiście przekonuje mnie ta świetna, nie do końca udana powieść postmodernistycznej, staromodnej pisarki, rozpoczynająca zasługującą na uwagę i przeoczenie serię. *Penelopiada* wprowadziła mnie w konfuzję, a wiele spraw pozwoiliła ujrzeć w lepszym świetle.

ARGUMENTUM

Aestimatur Margaritae Atwood „Penelopias”. Fabula Penelopae ab Atwood renarrata a multis lectoribus neglegi potest ut una ex multis parodiis, quae a metaneotericis sive postmodernistis scribuntur, scholasticisque declamationibus nimis similis. Res tamen diligentiore disquisitione digna esse arguitur, cum in libro plus inesse videatur, quam lusus, litterarum amatoris voluptati destinatus. Sollicitudines enim horum temporum veste praeteritorum tectas scit Atwood perspicere, qua facultate maxime eius opusculum valet.